



Fot. Wojciech/Sundziel/Agroja Gazeta

Rynek – tak, wypaczenia – nie

Wyniki referendum z 6 września dotyczącego m.in. wprowadzenia systemu JOW w wyborach do Sejmu, jak wiemy, nie są wiążące. Powodem była zbyt mała frekwencja. W istocie, była ona skrajnie niska, nie osiągnęła nawet 10 proc. Po referendum powszechnie oceniono, że 100 mln zł wydane na jego zorganizowanie zostało zmarnowane.

Zaskoczyła mnie ta ocena. Przecież pieniądze wydanych na referendum nie spalono ani nie podarto. Trafiły do producentów szyldów wieszanych na ścianach komisji referendalnych, do drukarni drukujących karty do głosowania, do kierowców przewożących materiały biurowe, do członków komisji referendalnych itd. Referendum dało zatrudnienie i wynagrodzenie wielu osobom. Co prawda cała ta praca na nic się nie przydała i ludzie trudzili się dla samego trudu, ale przecież dotychczas nikt się takimi rzeczami nie przejmował.

wet finansowe. Osiągnęliśmy w ten sposób przedziwną zamianę ról: kiedyś wolny rynek służył człowiekowi, zaspokajając jego faktyczne potrzeby, dzisiaj człowiek służy wolnemu rynkowi – poświęca swój czas, pieniądze, zdrowie, dobre relacje z innymi ludźmi, byle tylko napędzić popyt i zwiększyć obroty. Skutek jest taki, że pracując coraz bardziej efektywnie, mamy coraz mniej czasu, bo wytwarzamy coraz więcej nikomu niepotrzebnych „dóbr”.

Dostrzegając te – patologiczne w istocie – zjawiska, nie mam wcale zamiaru zniechęcać do mechanizmów rynkowych. Wręcz przeciwnie, chcę ich bronić. Dlatego protestuję przeciwko ideologizacji rynku, popytu i swoiście pojętego rozwoju. Nie wolno traktować ich jako celów samych w sobie. Mechanizmy rynkowe są jedynie narzędziem, którym trzeba się posługiwać poważnie w jednym tylko celu – aby najbardziej efektyw-

„Kiedyś wolny rynek służył człowiekowi, zaspokajając jego faktyczne potrzeby, dzisiaj człowiek służy wolnemu rynkowi: poświęca swój czas, pieniądze, zdrowie, dobre relacje z innymi ludźmi – byle tylko napędzić popyt i zwiększyć obroty”

Od pewnego czasu obowiązuje bowiem pogląd, że najważniejszy dla gospodarki jest (duży) popyt – nieważne czy uzasadniony, czy nie, bo to on napędza koniunkturę, daje zatrudnienie i warunkuje rozwój. Dlatego promowaniem popytu zajmuje się rząd, media i różni eksperci. Zwiększaniu popytu podporządkowane jest niemal całe życie gospodarcze i społeczne. Wszędzie obecna jest nachalna reklama i zewsząd wywierana jest presja, aby kupować, konsumować i używać coraz więcej, niezależnie od tego, czy jest to rzeczywiście potrzebne. Dotyczy to zresztą nie tylko rzeczy materialnych, również różnego rodzaju usług, szkoleń, konsultacji i „rozrywki”. To dlatego nie można zakazać handlu w niedziele, ograniczyć liczby sklepów z alkoholem, zabronić reklamy produktów szkodliwych lub nic nie wartych i skutecznie zwalczać ordynarnego naciągactwa. Doraźne zwiększenie popytu jest ważniejsze niż ostateczne – negatywne – skutki społeczne, a na-

nie wykorzystała ludzką pracę i zasoby, jakimi dysponuje człowiek, do wytworzenia określonych, potrzebnych dóbr materialnych lub usług. Każdy rozsądny człowiek powinien się przeciwstawić ideologizacji rynku. Jest ona bowiem wykorzystywana jako dobry argument przez przeciwników mechanizmów rynkowych, którzy chętnie zamieniliby je na system urzędniczy, nakazowo-rozdzielczy. Dotyczy to zwłaszcza opieki zdrowotnej, która z natury rzeczy nie powinna być poddana imperatywowi ciągłego zwiększania obrotów i popytu za wszelką cenę.

Takie antyrynkowe nastawienie prezentuje zwłaszcza PiS, partia, która już niedługo może objąć władzę w kraju. Dobrze by było, gdyby postulowane przez PiS większe zaangażowanie państwa w sprawy publicznej ochrony zdrowia oznaczało nie likwidację mechanizmów rynkowych, ale likwidację patologii, jakie wokół tych mechanizmów narosły. ■